

REBECCA YARROS

Porywający romans autorki bestsellera „New York Timesa”,
Fourth Wing. Czwarte Skrzydło.

PONIEWAŻ WIERZĘ W CIEBIE



FILIA

REBECCA YARROS

**PONIEWAŻ
WIERZĘ
W CIEBIE**

Przełożyła
Katarzyna Agnieszka Dyrek

FILIA

*Tacie – którego ręce nigdy nie pozwoliły mi upaść.
Kocham Cię, tatusiu.*

ROZDZIAŁ 1

CAMDEN

Płuca paliły, gdy nabierałem powietrza, łaknąc tlenu, którego jednak nie było. Palce świerbiły, by trzymać w nich papierosa, choć nałóg ten rzuciłem już sześć lat temu. Za każdym razem na wysokości czułem się w ten sam sposób – przynajmniej jeśli chodziło o oddychanie.

Pragnienie, by zapalić? Tkwiło we mnie dzięki uprzejmości miasteczka Alba w stanie Kolorado, liczącego sześciuset czterdziestu dziewięciu mieszkańców. Tak właśnie głosiła tablica, którą minąłem jakieś dwa kilometry wcześniej. Nie zamierzałem ufać znakowi, bo nie zaktualizowano go, odkąd się urodziłem, co akurat w mojej rodzinnej miejscinie stanowiło normę.

Nic tu nie zmieniło się od mojego wyjazdu. Wraz z brukowanymi ulicami, Alba stanowiła najlepiej zachowane miasto-widmo w Kolorado. Zimą żyło z turystów, którzy latem zostawiali w nim pieniądze.

Licznik na dystrybutorze paliwa obracał się leniwie, gdy uniosłem ręce ku południowemu słońcu i ośnieżonym szczytom przede mną, aby rozciągnąć mięśnie, które zbyt długo pozostawały w jednej pozycji podczas mojej podróży

z Karoliny Północnej. Owiął mnie ostry marcowy wiatr, przeganiając zmęczenie. Z radością powitałem jego chłodny dotyk na odsłoniętej skórze. Tu, na wysokości trzech tysięcy metrów nad poziomem morza, pogoda zdecydowanie nie pozwalała na noszenie samego T-shirtu.

Usłyszałem westchnienie, więc obróciłem się w stronę minivana, który stanął za moim jeepem. Blondynka w zbyt dużych okularach przeciwsłonecznych i puchowej zimowej kurtce gapiała się na mnie, trzymając jedną nogę na betonie, a drugą w aucie, jakby ktoś zrobił stop-klatkę, gdy wysiadała.

Opuściłem ręce, a moja koszulka osunęła się na miejsce, zasłaniając pokryty tatuażami brzuch, na widok którego bez wątpienia się śliniła.

Pospiesznie pokręciła głową i zaczęła tankować.

Przynajmniej się nie przeżegnała i nie uciekła.

Albo przeprowadziła się do Alby w ostatniej dekadzie, albo moja reputacja nieco przygasła, odkąd wstąpiłem do wojska. Do diabła, może mieszkańcy całkowicie już o mnie zapomnieli.

Zakończyłem tankowanie i poszedłem do budynku stacji, aby kupić coś do picia. Bóg jeden wiedział, co znajdę w lodówce taty.

Zamknąłem za sobą drzwi, przez co rozbrzmiał zawieszony nad nimi dzwoneczek. Skinąłem głową starszemu mężczyźnie za ladą. Wyglądało na to, że pan Williamson nadal by właścicielem tej stacji. Uniósł krzaczaste, siwe brwi i się uśmiechnął. Jednak kiedy mi się przyjrzał, zmarszczył brwi i spowaźniał. Zamrugął zdezorientowany. Zaraz potem zmrużył oczy, gdy mnie rozpoznał.

Najwidoczniej moja reputacja jest cała i zdrowa.

Pospiesznie wybrałem kilka butelek wody mineralnej z niewielkiego asortymentu i przyniosłem je do lady.

Starszy sprzedawca spoglądał na trzymany przeze mnie towar, jakbym miał go ukraść.

Można było powiedzieć o mnie wiele rzeczy, ale na pewno nie to, że jestem złodziejem.

Ponownie odezwał się dzwonek nad drzwiami, a pan Williamson wyraźnie się odprężył.

– Dzień dobry, poruczniku Hall – przywitał nowego klienta.

Zajebście.

Nawet nie spojrzałem. Ten stary, wredny, uparty osioł nie znosił mnie...

– Cholera jasna, Cam?

Ale to nie był Tim Hall, a jego syn Gideon.

Gid lekko rozdziawił usta i wytrzeszczył jasnobrzęde oczy.

Podobną minę miał wtedy, gdy w pierwszej klasie liceum Xander wepchnął nas do damskiej szatni. Nigdy porządnie nie podziękowałem bratu za to kocenie, chociaż i tak nikt by nie uwierzył, że Xander zrobiłby coś tak podłego. Przecież był tym dobrym synem.

– Nie wiedziałem, że policjantowi w mundurze wolno przeklinać. – Omiotłem go wzrokiem. Gid nie miał okrągłego brzucha jak jego ojciec.

– W przeciwieństwie do żołnierzy? – odparł.

– Dostajemy dzięki temu dodatkowe punkty, a poza tym nie noszę już munduru. – Nie włożyłem go już od siedemnastu dni. – Tata wie, że gwizdnałeś mu odznakę?

– Już? Czy two... – Westchnął. – Kurde, nic nie wymyślę!
Zaśmiał się, więc również parsknąłem śmiechem.

– Dobrze cię widzieć! – Porwał mnie w mocny, męski uścisk i poklepał po plecach, a jego odznaka wbiła mi się w pierś.

– Ciebie też. – Wyszczrzyłem zęby w uśmiechu, gdy się od siebie odsunęliśmy. – Właściwie chyba jesteś jedynym, na którego widok się cieszę.

– Daj spokój. Przecież jest tu pan Williamson. – Gid zerknął ponad moim ramieniem i skrzywił się na widok grymasu na twarzy starszego sprzedawcy. – Dobra, rozumiem.

– Nigdy mnie nie lubił. – Wzruszyłem ramionami, całkowicie świadomy, że mnie słyszał.

– Gdy po raz ostatni odwiedziłeś tę stację, wyrzuciłeś kogoś przez tę szybę. – Gid wskazał na okno, które już bardzo dawno temu zostało naprawione. – Rety, kiedy to było? Cztery lata temu?

– Sześć – odparłem mechanicznie. Niewiele rzeczy pamiętałem z tamtego wieczoru, ale data pozostawała kryształicznie jasna.

– Sześć. No tak. – Gideon posmutniał, bez wątplenia wspominając, dlaczego wróciłem ostatnim razem do Alby. A zjawiłem się na pogrzeb Sullivana.

Wrócił smutek, grożący wyciśnięciem resztek tlenu z moich płuc, ale zapanowałem nad sobą, chyba po raz milionowy odkąd pochowaliśmy Sully'ego.

Boże, wciąż słyszałem jego śmiech...

– Zapłacisz, Camden? – zapytał pan Williamson.

– Tak, proszę pana – odpowiedziałem, wdzięczny za zmianę tematu. Obróciłem się do kontuaru, aby dokoń-

czyć transakcję. Nie umknęło mi zaskoczenie na twarzy sprzedawcy moim grzecznym tonem ani tym, że mu podziękowałem i odszedłem. – To cię kiedyś wykończy – powiedziałem do Gideona, który kupił sześciopak słodzonego napoju gazowanego.

– Jesteś taki sam jak Julie – mruknął pod nosem, podając panu Williamsonowi kartę. – Już nie można napić się w spokoju oranżady?

Zabawne. Uśmiechałem się dzisiaj więcej niż przez cały ostatni miesiąc.

– Jak Julie i dzieciaki?

– Doprowadzają mnie do tego, że piję. – Uniósł puszkę. – Tak poważnie, to super. Julie jest pielęgniarką, ale wiedziałbyś o tym, gdybyś założył konto w mediach społecznościowych.

– Nie, dziękuję. Po co miałbym to robić?

Gideon podziękował panu Williamsonowi i wyszliśmy przed sklep.

– Po co? No nie wiem. Aby pozostać w kontakcie ze swoim najlepszym kumplem?

– Nie, po to jest e-mail. Media społecznościowe są dla ludzi, którzy chcą porównać swoje życie z innymi. Domy, wakacje, osiągnięcia. Nie widzę powodu, żeby stać na ganku z megafonem i ogłaszać światu, co zjadłem na obiad.

– *À propos* obiadu, na jak długo przyjechałeś? – zapytał, gdy stanęliśmy pomiędzy moim jeepem a jego zakurczonym radiowozem. – Julie z pewnością by się ucieszyła, gdybyś do nas wpadł.

– Na dobre – odparłem, nim zdołałem to przemyśleć. Zamrugnął.

– Tak, ja też potrzebowałem chwili, żeby to zrozumieć. – Spojrzałem na góry, pomiędzy którymi znajdowała się Alba. Góry, których nie chciałem już nigdy oglądać.

– Odszedłeś z wojska? Wydawało mi się, że robiłeś karierę.

Tak, prawda. To kolejna godna opłakania rzecz.

– Posterunkowy Malone? – zaskrzeczał kobiecy głos w jego krótkofalówce.

– Marilyn Lakewood nadal pracuje jako dyspozytorka? Ile ona ma już lat? Siedemdziesiąt?

– Siedemdziesiąt siedem – poprawił Gideon. – I zanim zapytasz, Scott Malone to dwudziestopięcioletni wrzód na dupie.

– A czego się spodziewałeś po synalku burmistrza?

– Burmistrza? Kiedy ostatnio rozmawiałeś z...

– Posterunkowy Malone? – powtórzyła Marilyn, z irytacji podnosząc głos.

– Musisz się zgłosić? – Wskazałem na radio, które miał na ramieniu.

– Malone musi się zgłosić – mruknął, kręcąc głową. – Pewnie Genevieve Dawson znów skarży się, że kot Livingstonów wszedł do jej ogródka. Gdyby chodziło o coś poważnego, Marilyn wzywałaby mnie. A teraz mów. Dlaczego tu jesteś? Wracasz na dobre? Przeprowadzasz się tutaj? Do miejsca, które nazywałeś dupą szatana...

– Xander zadzwonił – przerwałem mu, zanim przypomniałby mi o kolejnym powodzie, dla którego zarzekałem się, że nigdy tu nie wrócę. – Odebrałem, w końcu minęło już sześć lat.

– Tata – powiedział cicho Gideon.

– Tak, tata.

Zapadła między nami wymowna cisza.

– Gideon Hall! – warknęła Marilyn przez radio.

– Poruczniku Hall – szepnął, nim odpiął gruszkę. – Tak, Marilyn?

– Skoro cudowny chłopiec się nie zgłasza, to tobie powiem, że Dorothy Powers znowu zgubiła Arthura Danielsa. Zdrzemnęła się na chwilę, a gdy się obudziła, już go nie było.

Poczułem ukłucie w żołądku, kierując wzrok na górski szczyt.

Xander opowiadał, że tata już kilkakrotnie uciekł opiekunce, ale nigdy nie odszedł daleko od domu. Sytuacji nie poprawiało to, że Dorothy Powers była starsza od taty i zapewne sama już potrzebowała opiekunki.

– Jadę. Zadzwoń do grupy poszukiwawczej. – Gideon spojrział na mnie, po czym puścił gruszkę.

– Tata. – Jak daleko mógł zajść?

– Drugi raz w tym miesiącu. – Zacisnął na chwilę usta. – Jadę na posterunek po samochód z napędem na cztery koła. Nie dotrę do was radiowozem.

– Wsiadaj ze mną. Pojedziemy razem. – Bardziej rozkazałem, niż zaproponowałem, nie chcąc zwlekać. Jeździłem podniesionym jeepem z wielkimi oponami, silnikiem V-8 i napędem na cztery koła, który był w stanie przetrwać apokalipsę. Droga do domu taty o tej porze roku nie była taka zła.

Zgodził się, więc chwilę później zatrzymaliśmy się przed skrzyżowaniem w ulicę Gold Creek Drive, która stanowiła główny wjazd do miasta – nie zamontowano tu sygnalizacji świetlnej, ale czasem przejeżdżały tędy skutery śnieżne.

- Jak długo cię nie było?
- Sześć lat. – Spojrzałem na niego wymownie. Czy przed momentem mu o tym nie mówiłem?
- Nie, chodzi mi o dzisiaj. Kiedy wyszedłeś z domu? Czy Dorothy nie spała? A tata? – Szukał czegoś w telefonie.
- Chciałbym pomóc, ale jeszcze nie dotarłem do domu.
- Wskazałem na tylne siedzenie mojego czterosobowego jeepa rubicona.
- Dosłownie teraz pojawiłeś się w mieście? – zapytał, obrzucając wzrokiem torby i pudła, które towarzyszyły mi od ponad trzech tysięcy kilometrów.
- Tak – odparłem, gdy mijaliśmy ostatni budynek z lat pięćdziesiątych w centrum miasta. Przejechaliśmy przez most nad Rowan Creek, który w tej chwili miał jakieś dziesięć metrów szerokości, i zaczęła się zaśnieżona droga, która prowadziła do urokliwej Alby. – Pomyślałem, że dobrze by było zatankować samochód. Ktoś mi kiedyś powiedział, że z pełnym zbiornikiem łatwiej spieprzać przed glinami.
- Po mojej lewej znajdowała się główna ulica w centrum, przy której stały drewniane budynki z metalowymi dachami. Za kilka miesięcy zapełni się ona turystami, pragnącymi zwiedzić prawdziwe górnicze miasteczko, wzniesione w latach dziewięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.
- Ten ktoś dorósł. Poza tym, proszę, nie każ mi cię ścigać. Jeździsz bestią. Chyba powiem Julie, że już wiem, co chcę na urodziny.
- Świetny pomysł, ale poproś też o drabinę do niego. – Skręciłem w Hamilton, gdzie skończyła się kasa na renowację. Śnieg leżał w cieniu budynków, które dawno już straciły dachy, okna, a nawet ściany.

– Zamknij się. Nie wszyscy mają ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu.

– Genetyka. Przynajmniej ojca będzie można wypatrzeć.

– Łatwo go znaleźć, ale Cam... On jest w kiepskim stanie – powiedział, gdy skręciliśmy w Rose Rowan i zaczęliśmy jechać pod górę. – Kiedy się z nim ostatnio spotykałem, nie poznawał mnie lub brał za mojego ojca.

Zacisnąłem palce na kierownicy.

– Xander ma dosyć. Powiedział, żebym wracał, inaczej pošle ojca do ośrodka w Buena Vista. To wbrew pragnieniu taty, który upiera się, że jeśli nasza matka zmarła w tym domu, to on również to zrobi.

– Zaczekaj. – Uniósł telefon. – Dzień dobry, pani Powers. Tak, tu Gideon – urwał i podrapał się między oczami. – Wiem... Wiem, że tak. Znajdziemy go i grupa poszuki... Och, ona też? Dobrze. Pomoże. Będziemy za cztery minuty.

Skręciłem na drogę dojazdową do posesji taty i zakląłem, widząc, w jakim jest stanie. Zawsze trudno jeździło się tędy na wiosnę, gdy spływała woda z roztopów, ale wyglądało na to, że kanał nie był czyszczony od lat. Deski, które bez wątpienia znajdowały się pod ubitym śniegiem, dość łatwo dało się naprawić, ale umocnienie rowu wymytego z prawej strony podjazdu przez tę minirzekę, pochłonie sporo wysiłku.

Widywałem już gorsze drogi w Afganistanie czy innych miejscach, w których w ogóle nie powinno mnie być, ale to mój cholerny podjazd.

Gideon się rozłączył. Zatrzymałem jeepa, aby włączyć napęd na cztery koła.

– Jak Dorothy codziennie tu przyjeżdża? – zapytałem, ruszając pod górę. Samochód kołysał się na tyle, że przesuwały się umieszczone z tyłu pudła, a Gideon musiał złapać się uchwytu, gdy pokonywałem oblodzony, zacieniony zakręt. Śnieg z tego miejsca zawsze topniał na samym końcu.

– Przez posiadłość państwa Bradley. Sędzia dba o podjazd, utwardza go i odśnieża.

Ich działka graniczyła z naszą, ale jadąc tamtędy, musiałbym nadrobić dziesięć minut. Nie miałem ochoty na zwiedzanie... ani oglądanie państwa Bradley.

Boże, jeśli na świecie istniała osoba, która miała prawo nienawidzić mnie bardziej, niż ja sam to robiłem...

Moją uwagę zwrócił niebieski błysk w lusterku wstecznym.

Gideon się obejrzał.

– Xander – stwierdził, odpowiadając na moje niezadane pytanie. – To jego pick-up.

– Będzie zabawnie.

– Witaj w domu – rzucił.

Olałem go, pokonując ostatni zakręt, i wjechałem na polanę. Przez ostatnią dekadę byłem tu tylko raz, ale w snach widywałem ten widok niemal co noc.

Zachodzące słońce odbijało się od okien dwukondygnacyjnego budynku, w którym dorastałem, malując go ciepłym światłem, które pasowało do spoglądającego zza domu szczytu.

Tata zawsze żartował, że bezpieczniej wychowywać dzieci za lasem, gdzie pożary nie stanowiły aż takiego zagrożenia.

Osobiście jednak uważam, że czerpał perwersyjną przyjemność z życia na krawędzi, gdzie tlenu było tak mało, że niemal nic tu nie rośło.

Zaparkowałem samochód, wyłączyłem silnik i zgarnąłem kurtkę z podłogi za siedzeniem.

Kiedy Xander parkował obok, ja zdążyłem już wysiąść i zapiąć czarną kurtkę North Face, żalując, że to nie kamizelka z kevlaru. Wolałbym być na polu bitwy niż mierzyć się z bratem... lub z tatą.

– Ja... eee... pójdę sobie – oznajmił niezręcznie Gideon, zostawiając mnie na podwórzu. Usłyszałem, że drzwi domu otworzyły się i zamknęły, nim to samo stało się z drzwiami auta brata.

Obszedł maskę nowiutkiego, wypolerowanego pick-upa i zatrzymał się gwałtownie, zapinając kurtkę tylko do połowy.

Napłynęły wspomnienia – dobre, złe i najgorsze. Mniej więcej w takiej właśnie kolejności.

Przezcesał palcami idealne blond włosy, przypominające fryzurę Kena, i gwałtownie odetchnął.

– Camdenie.

– Alexandrze – odpowiedziałem, poprawiając czapkę.

Chyba obaj byliśmy zdenerwowani.

Brat nie zmienił się za wiele. Miał te same niebieskie oczy, tę samą szczupłą sylwetkę. Wygląd odziedziczył po tacie, a mimo to wydawał się być moim przeciwieństwem pod każdym względem.

Pokręcił głową, jakby brakowało mu słów i zamiast wyrecytować wszystkie sposoby, na jakie zawiodłem rodzinę, podszedł przez żwirowy podjazd i objął mnie.

– Cieszę się, że jesteś.

Jedno zdanie zraniło mnie bardziej niż jakakolwiek obelga, bo z nią bym sobie poradził. Przygotowałem się na wyzwiska.

Chwycił mnie za ramiona i uśmiechnął się do mnie – zaciskając usta i marszcząc brwi, najwyraźniej walcząc z emocjami, do których ja już nie czułem się zdolny – nie wiedziałem, jak się przed nim bronić.

Zaśmiał się, a w dźwięku tym pobrzmiwały uczucia wiążące się z sześcioma latami rozłąki.

– Ale urosłeś. Czym oni was karmią w tej Delcie? I co to jest? – Cofnął się o krok i wskazał na moją jasną brodę.

– W Zielonych Beretach, nie w Delcie – poprawiłem zgodnie z naszym starym żartem. Posłałem mu wymuszony uśmiech, czując, jak kurczy mi się żołądek.

– Tak, tak. Ale taki jak ja, który nigdy nie był w boju, nawet nie wie, na czym polega różnica. – Omiótł wzrokiem moją twarz, jakby starał się ją zapamiętać, nim... znowu zniknę. – Boże, Cam. Ja tylko...

Od żalu i wyrzutów sumienia dostałem mdłości.

Uśmiechnął się, pokazując białe zęby i szczęście, którego sam nigdy nie doświadczyłem.

– Naprawdę się cieszę, że wróciłeś do domu.

– Już mówiłeś. – Chciało mi się rzygać. Jakim cudem był dla mnie aż tak miły?

– Ale to prawda. – Poklepał mnie po ramieniu. – Może znajdziemy tatę?

– Nie wydajesz się zmartwiony.

– Martwię się, ale chociaż wielokrotnie zapominał, jak mam na imię, nigdy nie zgubił się na tej ziemi. Musimy go tylko wysledzić, nim spadnie temperatura.

Przytaknąłem, a brat obrócił się w kierunku domu. Było coś około zera, jednak kiedy zajdzie słońce, na pewno będzie na minusie.

– A tak w ogóle to niezły jeep. Pasuje ci – zawołał przez ramię.

Zamknąłem oczy i oddychałem przez nos, tłumiąc podchodzącą do gardła złość. Wydawało się, że moje ciało nie było w stanie fizycznie poradzić sobie z moimi emocjami.

Jasne, że mi wybaczył. Oczywiście, że powitał mnie z otwartymi ramionami. Pewnie, że w jego oczach nie czaiła się żadna wrogość, a jedynie czysta, surowa miłość. Nie musiał mi wytykać wszystkich moich wad. Zawsze dawał mi przykład. Był kimś, komu nigdy nie zdołałbym dorównać.

Wziąłem się w garść, a on się odwrócił.

– Dobrze się czujesz? – zapytał z troską.

– Tak. – Skłamałem, bo w tym akurat byłem dobry.

– To przez wysokość?

– Coś w tym stylu.

– Pij dużo wody – przypomniał, unosząc brwi, aż pokiwałem głową, a następnie wszedł na ganek.

W tej brwi dostrzegłem pierwszą skazę u brata – bliznę, której nie było, gdy widziałem go po raz ostatni. Cienka, krótka blizna, przez którą mało nie zwymiotowałem na podjazd.

Powstała przeze mnie, gdy rzuciłem go na okno pana Williamsona.

Xander znajdował się na schodkach, gdy otworzyły się drzwi i wybiegł Gideon.

– Ma broń! – krzyknął.

Xander zamarł, obserwując, jak policjant zbiega ze schodów i zmierza ku mnie.

AUTORKA #1 NA LIŚCIE „NEW YORK TIMESA”

Jakim mianem się określisz, skoro inni zdecydowali już,
kim tak naprawdę jesteś?

Sześć lat temu, gdy Camden Daniels wrócił z wojny
z młodszym bratem w trumnie, nikt w niewielkiej Albie
w stanie Kolorado nie chciał mu tego wybaczyć – a już
zwłaszcza ojciec. Cam ponownie wyjechał, zarzekając się,
że już nigdy tu nie wróci.

Jednak kiedy zdesperowany tata zadzwonił i poprosił
o pomoc, syn się poddał. Zdrada i ból przywiodły go
z powrotem do domu, w którym czekała na niego jedyna
kochająca go osoba – Willow. Dziewczyna, której nie
mógł mieć, ponieważ miasteczko skrywało tajemnice,
a te nie powinny ujrzeć światła dziennego.

Gdyby tylko zdołał przekonać serce,
aby jej nie akceptowało...

*Ponieważ wierzę w ciebie to wzruszająca opowieść
o rodzinie, zdradzie i ostatecznych decyzjach, jakie
jesteśmy gotowi podjąć dla dobra tych, którzy najbardziej
nas potrzebują.*

cena 52,90 zł

wydawnictwofilia.pl

